

# VERA EIKON

MIĘDZY PRAWAMI

# DARMOWY ROZDZIAŁ

Historia, w której POLICJA, MAFIA i POLITYKA spotykają się na jednej drodze.

MIĘDZY PRAWAMI  
CZĘŚĆ DRUGA

# PRZEDPIEKLE

(FRAGMENT)

Copyright © by Katarzyna Woźniak

Warszawa 2017

Zdjęcie na okładce: igorstevanovic/Shutterstock

Redakcja i korekta: Andrzej Zyszczyk

Format wydania: FRAGMENT PDF

Wydawnictwo HOLOGRAM  
holograpublishing@gmail.com

Strona autorska:

[www.veraeikon.com.pl](http://www.veraeikon.com.pl)

Sklep:

<http://veraeikon.shoplo.com>

górowianka



LITERACKI  
ŚWIATCYRYSI



Historia dedykowana tym,  
którzy odkrywają prawdę  
i prawdzie służą.

## „PROSZĘ O PEŁNĄ WSPÓLPRACĘ”

– mł. insp. Olga Tyrman

Pokój przesłuchań tonął w półmroku. Siedzący w nim komisarz Wydziału Zabójstw Centralnego Biura Śledczego Policji, Kamil Feliński, czuł się wyjątkowo niezręcznie w roli, którą przyszło mu teraz odgrywać. Zajął miejsce nieco oddalone od centralnego punktu niewielkiego pomieszczenia. Bardziej w cieniu. Może dzięki temu ukryje nerwowy tik mrugania prawym okiem i nachalne dłubanie przy paznokciach. Nieco ulgi przynosiła mu obecność technika siedzącego przy wariografie i młodszej inspektor Olgi Tyrman, która zobowiązała się do przeprowadzenia przesłuchania. Tych dwoje zachowywało pełen profesjonalizm. Zero stresu. Zero nerwowości. Co w zaistniałej sytuacji było oczywiście godne pochwały. Komisarz pomyślał, że zdecydowanie wolałby zajmować się teraz jakimś niezidentyfikowanym zgniłkiem niż mieć do czynienia z napięciem i poczuciem wstydu, swoistymi dla ludzi żywych. Potem przypomniał sobie, że to właśnie jeden z przydzielonych mu denatów postawił go w tej niewygodnej sytuacji. Należało odkryć prawdę o okolicznościach zgonu. Okolicznościach morderstwa. I zdemaskować winnego.

Przebywał w tym pokoju jeszcze ktoś, kto wydawał się podzielać odczucia Felińskiego. Na miejscu przesłuchiwanego siedział czterdziestoletni mężczyzna. Ubrany był w garniturowe

spodnie koloru czarnego i ciemną koszulę, której dwa górne guziki pozostawały rozpięte. Za plecy przerzucił marynarkę i czarny krawat. Nie ubrał się elegancko z okazji przesłuchania. Gdyby jego dzień potoczył się zgodnie z planem, byłby teraz w zupełnie innym miejscu. Choć, bez wątpienia, równie przytłaczającym. Jego ciało zostało przed chwilą okablowane czujnikami wykrywacza. Kazano mu się nie ruszać, co jeszcze zwiększało dawkę dyskomfortu, która i tak wydawała się już zabójcza. Nigdy, przenigdy nie spodziewałby się, że przyjdzie mu siedzieć na tym miejscu.

Stojąca naprzeciw niego inspektor Tyrman sprawnie związała długie blond włosy w koński ogon i zajęła swoje miejsce. Z służbowej teczki wyjęła kilka zadrukowanych kartek, po czym spojrzała na technika.

– Możemy zaczynać? Wszystko gotowe? – Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, zwróciła się do przesłuchiwanego: – Muszę pana pouczyć, że przeprowadzamy tę rozmowę na wniosek prokuratora, więc proszę o pełną współpracę. Zadam panu zaraz szereg pytań. Musi pan odpowiedzieć na wszystkie. Wolno panu odpowiadać tylko „tak” lub „nie”. Czy rozumie pan?

– Wiem, jak działa wariograf... Tak – odparł ciszej, niż zamierzał. Odchrząknął więc, żeby odblokować ściśnięte nerwami gardło i uwolnić swój naturalny, mocny głos.

Wykres wariografu podskoczył kopnięty dawką adrenaliny. Za chwilę nakreśli na kartce linię prawdy i kłamstwa, zapisze specjalny kod, będący odzwierciedleniem wewnętrznego stanu człowieka. Człowiek zareaguje na wszystkie postawione mu pytania. Testowe i właściwe. Niezwiązane ze sprawą i te dla niej kluczowe. Każde wypowiedziane w tym pokoju słowo zamieni się w uczucie, zostawi po sobie ślad i konkretną impresję.

– Czy nazywa się pan Alan Berg?

– Tak.

– Czy zamierza pan odpowiadać szczerze na wszystkie

postawione mu pytania?

- Tak.
- Czy ma pan stopień komisarza?
- Tak.
- Czy pracuje pan w szpitalu?
- Nie.
- Czy pracuje pan w Centralnym Biurze Śledczym Policji?
- Tak.
- Czy jest pan żonaty?
- Tak.
- Czy pańską żoną jest Angelina Jolie?
- Nie.
- Czy pańską żoną jest Ewa Berg?
- Tak.
- Czy mamy rok dwa tysiące dwunasty?
- Nie.
- Czy studiował pan w Anglii?
- Nie.
- Czy mamy rok dwa tysiące szesnasty?
- Tak.
- Czy urodził się pan w Pradze?
- Tak.
- Czy kiedykolwiek spotkał się pan z Zuzanną Ostrowską?
- Tak.
- Czy spotykał się pan z nią wielokrotnie?
- Tak.
- Czy prezydentem Polski jest Barack Obama?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek pozostawał pan w kontaktach intymnych z Zuzanną Ostrowską?
- Tak – odparł po chwili wahania. Wiedział, że właśnie teraz jest oceniany.

Technik patrzył na wykres, coś notował. Tyrman miała wzrok pozbawiony emocji. Feliński zerkał poniekąd współczująco. A jednak Berg podejrzewał, czuł w powietrzu nutę osądzenia, potępienia. A może to tylko jego własne emocje? Nerwy? Żal? Dlaczego to zrobił? Dlaczego się nie wycofał? Wszystko mogło być teraz inaczej.

– Czy zamordował pan Zuzannę Ostrowską?

Pytanie jakby do niego nie dotarło. Był teraz gdzieś indziej. Był przy niej. Objemował ją i przysięgał, że nic jej się nie stanie. Nie dotrzymał słowa. Był winny.

*Dwa tygodnie wcześniej...*

Wisła płynęła spokojnie. Wyraźnie, niczym lustro, odbijała otaczającą ją dziką przestrzeń i wiszący na nieboskłonie księżyc błyszczący złotym sierpem. Czarny mercedes stał zaparkowany na brzegu. Jego kierowca czekał już od pół godziny na umówione spotkanie i zaczynał się niecierpliwić. Wokół jedynie cykały świerszcze, a pobliskie pola przynosiły jednostajny szum nadciągający z autostrady. Sięgnął po trzeciego papierosa, kiedy usłyszał nadjeżdżający szosą samochód. Światła reflektorów precyzyjnie się pomiędzy pniami drzew, rzucając na ziemię wydłużone smugi światła. Wóz stanął obok.

– Czekam już od pół godziny! – zrugął przybysza właściciel mercedesa.

– I co? – odparł nowo przybyły, wychodząc z wozu. Jego szerokie ramiona okrywała czarna skórzana kurtka.

– Gównno! Piździ jak cholera.

– To nie pierdol, tylko do roboty.

Mężczyźni podeszli do bagażnika mercedesa. Gdy uniosła się pokrywa, spojrzęło na nich dwoje przerażonych oczu. Młoda, skąpo ubrana kobieta wydawała z siebie głuche piski i chrząknięcia.



Usta zaklejone taśmą. Nie mogła się bronić, bo jej dłonie i stopy skrępowano mocno zaciśniętymi więzami.

– Jezu, szkoda takiej fajnej dupy – powiedział ze szczerością w głosie mężczyzna w skórce.

– Nie byłoby sprawy, gdyby trzymała język za zębami.

– No, po chuj ci to było? – Chwycił ją za ramię i brutalnie wyciągnął z bagażnika. – Możesz już jechać. Zajmę się tym.

– Chcę to zobaczyć.

– Kurwa, nie ufasz mi?

Właściciel mercedesa wzruszył ramionami. Drugi przycisnął dziewczynę ku ziemi. Uklękła plecami do nich. Próbowwała się obrócić, spojrzeć na nich jeszcze raz. Ostatni raz błagać o życie. Chociażby wzrokiem. Nie interesowała ich jej panika. Mieli swoje sprawy, swoje interesy, które musieli załatwić. Ją – wyeliminować, a potem przedyskutować to i owo. W jej głowie milion myśli. Wspomnienia, ludzie, błędy. Tyle błędów. Trzeba było żyć inaczej. Prośba o wybaczenie. „Mamo, wybacz! Tato, wybacz! Boże, jeśli tam jesteś, przepraszam...”

– Ja pierdole! – zaklął mężczyzna w skórce. Zaczynało padać.

– Nie dość, że mam po tobie sprzątać, to jeszcze mi nie ufasz. – To powiedziawszy, wyciągnął zza kurtki broń i oddał jeden strzał w kierunku dziewczyny. Kula spenetrowała jej czaszkę i ciało bezwiednie opadło na ziemię.

– Teraz mogę już jechać.

– Teraz, kurwa? Czyli dalej sprzątam sam?

– Każdy ma swoją rolę do odegrania.

– Dobra. Mam nadzieję, że dobrze odegrasz swoją rolę przy najbliższym przetargu.

– O to się nie martw. Mamy go jak w banku – odparł z uśmiechem. Był z siebie szczerze zadowolony. Nie musiał już martwić się o niewygodnego świadka. Wierzył, że ciało kobiety zniknie bez śladu. Nie ma problemu. Żadnych pytań, żadnych podejrzeń. Można kontynuować interesy. Żyć spokojnie. Jak dobrze

to wszystko rozegrał! Miał wszystko. Pieniądze, wpływy, człowieka od brudnej roboty. Czasami przypłacał to momentami stresu. Ale dla chwil takich jak ta, kiedy wydawało mu się, że jest panem życia i śmierci, warto było się trudzić, warto było żyć.

Towarzysz spojrział na niego z nie mniejszą satysfakcją. Włożył pistolet do kabury i powiedział:

- Miło się z panem robi interesy, panie pośle.
- Wzajemnie, komisarzu.

## **„BEZ BATA NAD GŁOWĄ TO JAKOŚ CIĘŻEJ IDZIE”**

– st. asp. Kacper Chaberski (ps. Chaber)

Niedziela.

Samolot powoli obniżał pułap lotu. Pasażerowie odczuwali to dość mocno z powodu złej pogody panującej na zewnątrz. Wiatr uderzył o skrzydła, które lekko zadygotały. Kiedy maszyna przebiła się przez chmury, słońce zniknęło z pola widzenia, a w zamian pojawiły się mrok i strugi deszczu. Namalowały na oknach wydłużone smagnięcia kropel. „Kiepski dzień na powrót do domu” – pomyślał komisarz Alan Berg, dość intensywnie przeżywając każde kolejne wstrząśnięcie samolotem. Nie dawał tego po sobie poznać, ale czuł się tak samo rozdygotany, jak sama maszyna. Nie lubił latać ani w dobrych, ani tym bardziej w niesprzyjających warunkach. Powód tego był dość prosty – jako pasażer, nie kontrolował toczących się wokół niego wydarzeń. Z trudem przychodziło mu powierzanie własnego losu w ręce innych ludzi, szczególnie całkiem obcych, nieważne, jak dobrze wyszkolonych. Pozostawało mu jedynie zaufać ich umiejętnościom, wypić setkę whisky przed startem i rozpraszać się różnymi zajęciami podczas lotu.

Otworzył zakupioną na lotnisku gazetę „Daily Herald” i zaczął ją bezmyślnie kartkować. Nic nie było w stanie odwrócić jego uwagi od turbulencji, aż w końcu natrafił na stronę czternastą, poświęconą zagranicznym wydarzeniom, na której umieszczono wzmiankę o skazanym Rodionie Vlacicu. Berg znał bardzo dobrze

wynik tej rozprawy. Ba! Znał cały jej przebieg i to ze szczegółami. Śledził postępowanie wnikliwie, ponieważ własnoręcznie postawił Vlacica przed sądem. Rosyjskim sądem, który, jak wierzył komisarz, miał wyznaczyć o wiele wyższą karę, niż byłby w stanie uczynić to sąd polski. Po wielu latach poszukiwań, po miesiącach uciążliwego dochodzenia dorwał wreszcie tego psychopatę i mordercę. A teraz cały świat dowiedział się o jego zbrodniach i zaplanowanej dla niego karze. *Life sentence* – przeczytał Berg z satysfakcją, która jeszcze bardziej wzrosła na widok dalszych słów – *jailed on Ognenny Ostrov island in high security prison called Pyatak*. Zanim biuro CBŚP wydało Vlacica rosyjskiej policji, komisarz upewnił się, że zawiązano z nimi pewną niepisaną umowę, która zakładała, że jeśli zapadnie wyrok skazujący na dożywocie (w co wszyscy szczerze wierzyli), Vlacic zostanie osadzony w najgorszym z możliwych rosyjskich więzień. I tak właśnie się stało.

Koła samolotu uderzyły o ziemię. Maszyna szarpnęła pasażerami i rozpoczęła hamowanie. Z głośników popłynął głos pilota:

– Szanowni państwo, wylądowaliśmy na Lotnisku Chopina w Warszawie. Temperatura na zewnątrz wynosi dziesięć stopni Celsjusza. Mam nadzieję, że zaopatrzyli się państwo w parasole, bo wita nas dość mocny jesienny deszcz. Przepraszamy za turbulencje i życzymy miłego dnia.

Maszyna zakołowała do bramki. Komisarz opuszczał pokład z poczuciem ulgi. Zarzucił na ramię plecak i podążył za strzałkami po odbiór bagażu. Nie miał go za wiele. Tylko tyle, ile potrzebował na trzymiesięczny pobyt w Holandii. Po kilku minutach doczekał się przyjazdu na bagażowym pasku swojej granatowej sportowej torby. Odszedł z nią na bok, w ustronne miejsce. Odpiął niewielką kłódkę spinającą ze sobą jej dwa ekspresy i upewnił się, że umieszczony

w środku służbowy glock pozostał nietknięty i zabezpieczony w skrzynce.

Dopiero kiedy wyszedł z hali przylotów na zewnątrz, dotarło do niego, że stąpa po polskiej ziemi. Powietrze wydawało się inne, pełniejsze od holenderskiego. Wyraziste, ostre – swoiste tylko dla krajów, w których istnieje jeszcze prawdziwa zima. Dominował w nim zapach nasączonej deszczem gleby.

Policjant stanął przed zadaszonym wyjściem oznaczonym szyldem „Przyloty/Arrivals” i zapalił papierosa. Ludzie biegiem łapali taksówki. Niedbale wrzucali torby i walizki do bagażników i z piskiem dziecięcej radości szukali schronienia przed deszczem.

Berg cieszył się z powrotu do domu, choć wiedział, że ten „dom” będzie nieco inny od tego, który opuszczał kilka miesięcy wcześniej. Przed jego wyjazdem zdecydowali się z żoną na separację. Ona uznała, że są to ku temu „sprzyjające warunki”, przyzwyczają się do bycia osobno. On nie protestował. Wiedział, że bezowocnie próbowali poskładać swoje małżeństwo po stracie nienarodzonego dziecka. Przez miesiące udawali, że nic takiego nie miało miejsca, starali się żyć normalnie. Spędzali wspólnie każdy wolny dzień. Spotykali się z przyjaciółmi, nadal ze sobą sypiali. Jednak coś było nie tak. Kiedy nastawała między nimi chwila ciszy, która przez czternaście lat związku nigdy dotąd nie stanowiła problemu, nagle wywoływała w nich ona poczucie dyskomfortu, a nawet chęć ucieczki. Przestali umieć ze sobą rozmawiać. Owszem, dyskutowali o pracy i sprawach praktycznych, o rzeczach do załatwienia, jednak nie potrafili już rozmawiać o sobie nawzajem, o uczuciach, przemyśleniach czy obawach. Z czasem zaczęła irytować ich wzajemna obecność. Woleli być razem w towarzystwie osób trzecich niż sam na sam. Na osobności chcieli być tylko wtedy, gdy mieli ochotę na seks. Zaraz po

nim ponownie następowała niewygodna cisza.

Powietrze przeciął radosny dźwięk klaksonu. Srebrne volvo V40 zaparkowało przed szklanymi drzwiami hali przylotów. Kierowca wyszedł, aby otworzyć bagażnik, i w geście powitania uniósł do góry rękę. Berg wyrzucił papierosa do śmieci i podszedł do samochodu. Wyciągnął ku przybyłemu dłoń, ten jednak przyciągnął go do siebie i obdarował przyjacielskim uściskiem.

– Proca, dobrze cię widzieć!

– Opanuj się, Chaber, bo zawrócę do samolotu – odparł komisarz z mimowolnym uśmiechem, choć postarał się, by w jego głosie nie zabrakło ziarna oschłości.

Wsiedli do volvo. Kilka minut na deszczu wystarczyło, by obydwaj ociekali wodą.

– Jak Amsterdam?

– Dobrze. Niewiele do opowiedzenia. – Chaber odpalił silnik. – Faktycznie okazało się, że Vlacic eksperymentował tam ze swoją herą. Gotował z ekspertami, więc jak ich zgarnęliśmy, Holendrzy byli przeschęśliwi.

– Odpalili ci jakąś premię?

– Żartujesz? Z całym szacunkiem dla ich pracy, ale mają żydowskie podejście do biznesu.

– No, to przynajmniej zmieniłeś scenerię na kilka miesięcy.

– A co u nas?

– Powoli. Głównie obserwowaliśmy Żoliborz...

– I tyle? Przez trzy miechy obserwowaliście Żoliborz?

– Wiesz, bez bata nad głową to jakoś trudniej idzie.

– Nie interesują mnie twoje fantazje erotyczne, Chaber.

– Proca... Dobrze, że jesteś!

Jeszcze rok temu komisarz przyłożyłby mu za takie spoufalanie

i zwracanie się do niego pseudonimem. Jednak kiedy czternaście miesięcy temu zamknęli sprawę Rodiona Vlacica aka Wilka, ich relacje uległy zmianie, znacznie się zacieśniły. Podobnie zresztą jak relacje z innymi współpracownikami, z których składała się dowodzona przez Berga grupa operacyjna „Szakal”. Komisarz zdobył się na większą otwartość wobec nich i zauważył, z niemalym nawet zdziwieniem, że czasami przynosiło to zadowalające efekty w pracy. Na czas pobytu za granicą powierzył starszemu aspirantowi Kacprowi Chaberskiemu swoją rolę szefa. Po cichu liczył, że podczas jego nieobecności chłopaki pchną nieco do przodu rozpracowywanie narkotykowej mafii żoliborskiej. Zdawał sobie jednak sprawę, że tego typu działania mogą trwać miesiącami.

– Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

– Nie ma sprawy.

– Próbowałem wrobić w to Młodego, ale nie mogłem się dodzwonić.

– Trudno z tym ostatnio. Nie odpowiada na telefony.

– Taki zapracowany?

– Chyba tak.

– Nie byliście w kontakcie?

– Ucichł może miesiąc temu. Ciągle wałkował tę swoją tajemniczą sprawę.

– „Tę” sprawę?

– „Tę” sprawę! Naprawdę nie kumam, co mogło być tak fascynującego w dochodzeniu CBA, żeby aż wycofał się ze współpracy z nami. Taka szansa! Mógł pracować z elitą elit, a wybrał ich! – Chaber nie mówił tego do końca poważnie. Uśmiechał się półgębkiem, nieco sarkastycznie. Wśród policjantów cebosiu krążyła bowiem opinia, że praca w antykorupcyjnym jest dobra na zakończenie kariery. Więcej spokoju. Wyższa pensja. Dodatkowo zarówno on, jak i Berg uważali, że

Młody ze swoją charyzmą i duszą lidera o wiele lepiej sprawdzałby się w grupie „Szakal” niż jako popychadło swoich przełożonych w CBA.

Berg, choć się nie odezwał, podzielał zdanie Chabra. Z radością przyjął deklarację podkomisarza Sikorskiego (Młodego) o przeniesienie z Centralnego Biura Antykorupcyjnego do Biura Śledczego, jednak zaraz po niej pojawiła się „ta sprawa”, o której podkomisarz ani nie chciał, ani nie mógł z nikim rozmawiać. To z jednej strony zrozumiałe – tajemnica zawodowa. Jednak dla Berga, jako dla oficera policji, człowieka rozpracowującego problemy, rozwiązującego zagadki, była to sytuacja niezmiernie niepokojąca. Niepokojące było również to, że Młody nie odpowiadał na telefony. „To nie w jego stylu. Jest za bardzo socjalny na takie milczenie” – pomyślał komisarz.

Chaber zaparkował pod apartamentowcem przy ulicy Pejzażowej.

– To widzimy się jutro?

– Tak, do jutra – odparł Berg z uśmiechem i chwilę później przekroczył próg mieszkania na dwunastym piętrze. Wynajmował je od ponad trzech miesięcy, od kiedy jego żona, Ewa, zasugerowała okres separacji.

Komisarz rzucił torbę i plecak na podłogę. Mieszkanie nie sprawiało wrażenia domu. Niezagospodarowane kąty. Rzeczy w tekturowych pudłach. Puste szafki. Niewiele przedmiotów należało tu do Berga. Meble pozostawił po sobie właściciel. Na brzegu kuchennego blatu stała niewielka porcelanowa miska wypełniona drobiazgami – monety, klucze do forda taurusa, kilka karabińczyków. Berg opróżnił kieszenie spodni. Parę eurocentów, zużyty bilet autobusowy oraz drobny drewniany różaniec dołączyły do reszty przedmiotów w misce. Z kuchennej szafki wydobył szklanekę, wypełnił ją do połowy whisky i wyszedł z nią na balkon. Tam rozsiadł się wygodnie, zapalił



papierosa i rozejrzał po rozciągającym się przed nim widokiem na miasto. Jego miasto. Jego dom. Wydało mu się, że przez ostatnie lata zapominał o tym. Traktował Warszawę w sposób oczywisty, jak coś, co po prostu jest; do czego nie przywiązuje się zbyt wielkiej wagi. Miesiące rozłąki wyleczyły go z apatii. Wrócił. I był na swój sposób szczęśliwy.

Alkohol rozgrzał słodko jego podniebienie. Przestało padać, a powietrze pachniało przyjemną wilgocią. Naszła go ochota na marihuanę. Podczas pobytu w Amsterdamie oczywiście korzystał z bezkarnego przyzwolenia na tę używkę. Palił jednak po swojemu, niewiele – jedno zaciągnięcie wystarczyło, żeby się odprężyć, nie tracąc przy tym jasności umysłu. Jednak teraz nie miał dostępu do towaru. Jego ostatni polski dostawca trafił za kratki cztery miesiące temu, ponieważ złamał zawartą z komisarzem umowę – zaczął handlować twardymi narkotykami. Berg osobiście go zapuszkował. Rozczarowany, lecz wiedziony poczuciem obowiązku, odwiózł delikwenta do aresztu. Wszystkie zarekwirowane narkotyki uwzględnił w raporcie i, zabezpieczone, odstawił do policyjnego magazynu.

Zaciągając się ponownie papierosem, pomyślał, że dobrze będzie wrócić do swoich zadań. Nawet się ucieszył, że grupa nie zamknęła jeszcze sprawy Żoliborza. Znał dość dobrze kwestie związane z dochodzeniem. Orientował się również w profilach członków mafijnej grupy. Musiał jeszcze uzupełnić niektóre informacje, ale miał wystarczające obeznanie w temacie, żeby móc od razu wrócić do pracy na pełnych obrotach.

Wybiła dziewiąta rano. Czarny ford taurus zjechał z ulicy Puławskiej, skręcając ku bramie wjazdowej do CBŚP. Dyżurujący

w budce policjant od razu rozpoznał samochód i jego kierowcę. Nie uniósł jednak szlabanu, lecz wyszedł na zewnątrz i podszedł do wozu. Szyba od strony kierowcy zsunęła się. Dyżurny zajrzał do wnętrza i z uśmiechem zagadał:

– Zachodziłem w głowę, co się z tobą stało, a chłopaki powiedzieli, że do Amsterdamu cię wydelegowano!

– Tylko tymczasowo – odparł komisarz równie życzliwym tonem.

– Nie lepiej byłoby tam zostać? Warunki pracy pewnie lepsze?

– Może i lepsze, ale obce. A tutaj jestem u siebie.

Za taurusem stanął kolejny samochód, więc dyżurny pożegnał się, życząc „powodzenia”, i uniósł szlaban. Berg wykręcił w kierunku swojego ulubionego miejsca parkingowego, które w upalne dni chroniło wóz od słońca, a w każde inne od ptasich odchodów. Rozczarowany odkrył, że miejsce było zajęte przez bordowego hyundaia. Czemu się dziwić? Nie było go przez trzy miesiące. To jednak dużo czasu. Może wystarczająco, żeby stracić wyrobioną pozycję w Biurze, a na pewno dostatecznie długo, żeby stracić ulubione miejsce parkingowe. Cóż, będzie musiał wypracować uznanie od nowa.

Znajomy widok murów, chłód metalowej klamki i charakterystyczne skrzygnięcie drzwi wprawiły go w dobry nastrój. Poczuł, jakby po wielu tygodniach chodzenia w cudzych błyszczących lakierkach w końcu wsunął obie stopy we własne, wygodne, biegowe asicsy. Spokojnym krokiem przemierzył korytarz, pokonał dwa piętra schodów i znalazł się w wydziale narkotykowym. W drodze do swojego pokoju ucisnął kilka dłoni i wymienił parę uśmiechów. Szyby okalające niewielkie pomieszczenie, w którym pracował, zaślepione były żaluzjami. Nie tak je zostawił. Włożył kluczyk do zamka, lecz ten okazał się otwarty. Wszedł do środka, gdzie czekali na niego członkowie grupy operacyjnej „Szakal”. Oprócz Chabra, który

poprzedniego popołudnia odebrał go z lotniska, siedzieli tu także Mazur (specjalizujący się w technologiach) i Impuls (wykonujący rozkazy bez szemrania aspirant, który był najlepszym obserwatorem, jakiego znał komisarz). Mazur podniósł się z krzesła, poprawił zsuwające się z wąskiego nosa okulary i uścisnął komisarzowi dłoń. Impuls z kolei przywitał go mocnym, niedźwiedzim uściskiem. W pokoju znajdowały się dwa biurka. Jedno z nich służyło Bergowi do pracy. Było czyste. Prawie puste. Drugie, będące niegdyś miejscem pracy Młodego, stanowiło teraz przechowalnię dla wszystkiego, co miało być pod ręką. Leżały na nim cztery stosy dokumentów. Akta, profile, raporty pieczołowicie zbierane w ciągu ostatnich miesięcy przez grupę. Wszystkie związane w mniejszym lub większym stopniu z grupą żoliborską. Stosy przesunięto na jeden koniec biurka, aby w drugim zrobić miejsce na niewielkie powitalne ciasto. Berg wolałby wrócić do pracy po cichu, bez zbędnego szumu, ceregieli; przemknąć niepostrzeżenie do swojego pokoju i zatopić się w czekającej na niego sprawie. Jego chłopcy wybrali nieco inną drogę i komisarz, nie chcąc robić im przykrości (w końcu pracowali ciężko przez cały czas jego nieobecności), przystawał na wszystkie ich ceremoniały. Dostrzegli jednak jego zmieszanie. Impuls obszedł biurko ze stosem papierów.

– Nie martw się, Proca, mamy jeszcze popitkę do tego ciasta.  
– Wydobył z za stosu cztery kieliszki i pół litra wódki. Nie mieli w zwyczaju pić o tak wczesnej porze, ale okazja wydawała się wyjątkowa. Polał każdemu. Wzniesli toast. Gdy tylko unieśli kieliszki do ust, ktoś zapukał do drzwi i zaraz potem je otworzył. Policjanci szybko odstawili trunki na biurko i zasłonili je własnymi ciałami. Do pokoju wszedł inspektor Filip Tyszka, przełożony i zarazem przyjaciel Berga, który nigdy nie szczędził mu ojcowskich rad. Na jego poszarpaną czasem i stresem twarz wstąpił szeroki uśmiech.

Inspektor uściskał Berga i kładąc dłoń na jego ramieniu, powiedział:

– Dobrze cię widzieć, Alan! Mamy dużo do obgadania... – zawiesił nagle głos i wciągnął więcej powietrza do płuc. – Czy ja czuję tu alkohol?

Chłopaki posłali wzrok w podłogę, jednak Berg uśmiechnął się lekko i zwrócił do Impulsa:

– Masz jeszcze jeden kieliszek? Polej panu inspektorowi.

– Jasne! Nie mam, ale ja nie muszę w sumie...

Wręczył inspektorowi własny kieliszek. Ponownie wzniesiono toast powitalny i cztery szkła zostały opróżnione. Impuls odkroił z ciasta dwa kawałki i ułożył je na papierowych talerzach. Resztę spakował i wepchnął razem z kieliszkami oraz wódką do leżącego na boku plecaka, po czym wszyscy aspiranci opuścili pokój, zostawiając Berga sam na sam z inspektorem.

– Miłe powitanie – przyznał Tyszka. Berg przytaknął, rozsuwając równomiernie stopy akt na biurku. Zdał inspektorowi dokładną relację z pobytu za granicą, podzielił się opinią o pracy holenderskiej policji i opowiedział o ostatecznej realizacji, którą przeprowadzono dwa tygodnie temu.

Tamtego dnia lało jak z cebra. Typowy holenderski dzień. Deszcz non stop. Czasem rzadszy, czasem gęstszy, ale nieustanny. O pierwszej w nocy trzy grupy do zadań specjalnych podjęły się realizacji w trzech różnych lokalizacjach w Amsterdamie. Jedna z nich wchodziła do mieszkania na wschodzie miasta, na terenie arabskiej dzielnicy Indische Buurt. Druga do znajdującej się w zachodnim Westpoorcie agencji towarzyskiej. Trzecia, w której składzie był Berg, zobligowała się do zatrzymania osób przebywających na trzecim piętrze mieszkania w sercu miasta.

Samo dotarcie do mieszkania nie było łatwym zadaniem.

Szturmowo wyposażeni oficerowie wkroczyli do starej kamienicy i po cichu rozpoczęli wspinaczkę na trzecie piętro budynku. „Wspinaczkę” jest w tym przypadku określeniem dosłownym, ponieważ typowe schody w klasycznej holenderskiej kamienicy są wąskie na szerokość stopy i tak strome, że przywodzą na myśl raczej szczeble drabiny niż stopnie. Każdy z oficerów stąpał ostrożnie, starając się niwelować skrzywienie wiekowego drewna do minimum. Wprawieni, bez problemu zachowywali równowagę, w jednej dłoni trzymając broń, a drugą zabezpieczając się przed niekontrolowanym upadkiem. Gdy dotarli pod drzwi, z impetem wybili je z zawiasów, rozwalając przy tym część zabytkowej futryny. Do środka wleciał granat hukowy. Grupa ubranych na czarno oficerów wpadła do mieszkania, rzucając na przemian holenderskie i arabskie komendy. Wiedzieli bowiem, że gang składał się z niderlandzkich i marokańskich członków. Wiedzieli również, że jeden z delikwentów jest gejem. Do aresztowania go wyznaczono więc oficera homoseksualistę, by przestępca nie miał podstaw do posądzenia policji o dyskryminację na tle orientacji seksualnej. Ot, poprawność polityczna. Berg trzymał się z tyłu, pozwalając holenderskim kolegom wykonywać ich powinność. Sam był tam bardziej uzbrojonym obserwatorem niż czynnym pracownikiem. Później uczestniczył w kilku przesłuchaniach, lecz zatrzymani, dowiedziawszy się, że jest Polakiem i że to on zapuszkował Wilka (ich drogiego przyjaciela), udawali, że nie znają angielskiego, i komunikowali się jedynie z holenderską policją. Komisarz był więc skazany na przetłumaczone sprawozdanie po fakcie. Koniec końców otrzymał wszystkie pożądane informacje i był ogólnie zadowolony z zagranicznej współpracy.

Inspektor wysłuchał jego opowieści z zainteresowaniem. Zjadł swój kawałek ciasta, po czym zostawił Berga samego. Stosy akt

i raportów czekały na przejrzenie. Trzeba było uzupełnić wiedzę o mafii żoliborskiej, nadgonić zgromadzony przez „Szakala” materiał. Nie tracąc czasu, przystąpił do pracy. Informacji było sporo. Nazwiska, zdjęcia, adresy... Jednak brak informacji o tych znajdujących się na najwyższych szczeblach piramidy. Brak bossa. Policjanci dowiedzieli się, że posługuje się pseudonimem Wujek. Nie wiedzieli, kim jest ani jak wygląda.

Grupa żoliborska trudniła się głównie sprzedażą narkotyków: marihuany, kokainy i haszyszu. Pierwszy sprowadzano z Holandii, dwa kolejne z Ameryki, najprawdopodobniej z Meksyku. Jeśli chodzi o legalną stronę ich działalności, parali się różnymi interesami, na przykład prowadzili drukarnię, firmę oferującą transport przy przeprowadzkach i, jak to zwykle bywa w narkotykowym półświatku, bar. Przez pierwsze miesiące dochodzenia policjanci starali się przede wszystkim zdobyć numery telefonów członków gangu. Śledząc ich połączenia i podsłuchując rozmowy, mogliby z łatwością odtworzyć całą przestępczą siatkę, poznać pseudonimy wszystkich członków, dowiadywać się o planowanych przerzutach i transakcjach. Niestety przestępcy bardzo sumiennie dostosowywali się do narzuconych im zasad, wedle których byli zobowiązani do zakupu nowego telefonu na kartę co dwa tygodnie. Kiedy więc „Szakal” namierzył już jakiegoś delikwenta i zaczynał rozpracowywać połączenia wewnątrz gangu, trop urywał się nagle i całą robotę musieli zaczynać niemalże od nowa. Z tego względu uciekali się do innych metod operacyjnych. Przeprowadzali długotrwałe obserwacje. Podsłuchiwali rozmowy, używając mikrofonów kierunkowych. Wszystko wykonywali jednak z bezpiecznej odległości. Gdyby któryś z nich został zauważony i zdemaskowany jako policjant, byłby spalony, a jego udział w dalszych działaniach rozpoznawczych znacznie by się ograniczył.

Im bardziej Berg wczytywał się w otrzymany materiał, tym bardziej był zadowolony z pracy swojej grupy. Pracowali ciężko i żmudnie, a przy tym cierpliwie. Obawiał się przedtem, że kiedy nie będzie go w pobliżu, zapomną o wszelkich jego wytycznych, o wszystkim tym, czego uczył ich przez lata. Okazało się jednak inaczej. Nie ulegli ani presji „góry”, ani własnym ambicjom, które, jak to często bywa u młodych ludzi, pchają do działania ślepego i narwanego.

Grupa „Szakal” zawiązała się pięć lat temu. W tamtym czasie, na samym początku jej działalności, młodzi policjanci z trudem znosili rozkazy narzucające czekanie, cierpliwe i długotrwałe obserwacje. Woleli od razu wchodzić do akcji. Z chęcią aresztowaliby każdego nowo napotkanego przestępcę, tracąc szeroki ogłąd na sprawę; tracąc perspektywę. Lata spędzone pod skrzydłami Berga najwyraźniej utemperowały te nieco narwane charaktery. W ciągu ostatnich miesięcy aresztowali tylko dwóch delikwentów, którzy nie mieli nawet związku z grupą żoliborską. „Z pewnością – pomyślał komisarz – Brocki nie jest tak zadowolony z tego powodu jak ja”.

Nadinspektor Waldemar Brocki był zastępcą szefa Biura. Człowiek ambitny, inteligentny, ale, jak to określał Berg, za mało elastyczny. Zdecydowanie zbyt często posługiwał się schematami, za bardzo zapatrywał się w statystyki i przywiązywał zbyt wielką wagę do protokołów. Słowem – był całkiem inny niż Berg. Dlatego dość często dochodziło między nimi do spięć i krążyły w Biurze opinie, że Proca nie stracił jeszcze roboty tylko dzięki wstawiennictwu inspektora Tyszki.

Komisarz przetarł zmęczone ciągłym czytaniem oczy. Spojrzał na stojące naprzeciw niego biurko, przy którym niegdyś, przez bardzo krótki okres, pracował Młody. Gdyby tu był, z pewnością wymieniliby teraz kilka błyskotliwych myśli, poszli na strzelnicę albo ponarzekali,

jak beznadziejny, bo skazany na niepowodzenie, zawód sobie wybrali. Do tej ostatniej opinii podchodzili obaj pół żartem, pół serio. Nie wyobrażali sobie wykonywania innego zawodu. W ich umysłach walka z czynnym złem była jednym z najważniejszych powołań na tej ziemi. Jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że owa walka nigdy się nie kończy. Nigdy, dopóki człowiek chodzi po ziemi swoimi grzesznymi stopami.

Berg wyjął z plecaka telefon i zadzwonił do Młodego. Kilka sygnałów zadzwięczało w słuchawce, po czym uruchomiła się sekretarka. „Cześć, Młody – nagrał się komisarz. – Wróciłem wczoraj do naszej piekielnej Warszawki. Oddzwoni. Umówimy się na piwo czy coś... Nadgonimy ostatnie miesiące”. Miał nadzieję, że Młody oddzwoni za chwilę i może uda się im wspólnie zjeść coś na mieście, jednak telefon milczał. Minęła czternasta, kiedy komisarz wreszcie wyszedł ze swojego pokoju. Zaczynał się w nim czuć klaustrofobicznie i przestawał już przyswajać tekst raportów. Pomyślał, że zajrzy do „Becketta” – pobliskiej restauracji, której jedzenie uwielbiał. Proste, na polską nutę. Stęsknił się za nim po trzech miesiącach pobytu w Holandii, gdzie żył prawie wyłącznie na kanapkach i smażonych w głębokim tłuszczu przekąskach w typowo tamtejszym stylu.

Przemierzał korytarz Biura, kiedy dostrzegł znajomą twarz komisarza Kamila Felińskiego z Wydziału Zabójstw nadchodzącego z przeciwnego kierunku. Współpracowali ze sobą w przeszłości, lecz nieznacznie i każdy z nich dbał zazwyczaj o własne interesy oraz wyniki własnych śledztw. Szanowali jednak wzajemnie swoją pracę i, w przeciwieństwie do większości otaczających ich oficerów, jeden pod drugim nie kopał dołków.

– Proca! Spadasz mi z nieba. – Feliński przywitał go z nie



mniejszym entuzjazmem niż najbliżsi współpracownicy. Odciągnął go jednak szybko na bok i niemalże szeptem zapytał: – Masz kontakt z tym swoim kolegą z korupcyjnego?

– Planuję zobaczyć się z nim dzisiaj, a co?

– Możemy pogadać? Może zjemy coś razem? Znam dobrą pizzerię za rogiem!

I tak rozmyły się marzenia komisarza o polskim obiedzie. Przyjdzie mu zjeść pizzę – nieco inną formę kanapki. Czekając na zamówienie, rozpoczęli rozmowę.

– No, mów, Fela, z czym masz problem.

– Znasz sprawę, nad którą pracuję? – zapytał, lecz ton jego głosu sprawił, że pytanie to zabrzmiało jakby retorycznie.

– Nie. Dopiero wczoraj wróciłem po trzech miesiącach współpracy zagranicznej...

– Szczęściarzu! – przerwał Feliński, a na jego twarzy wystąpił grymas rozczarowania. Nie było pewne, czy wynikał on z zazdrości, czy z faktu, że ktoś na tym świecie jeszcze nie wiedział o ważnej sprawie wielkiego Feli. Był dobrym policjantem i człowiekiem tego pokroju, który myśli, że wszyscy wokół żyją wyłącznie jego sprawami. Berg podziękował za otrzymaną od kelnera pizzę i odpowiedział koledze:

– Wolę być u siebie. Na swoich śmieciach. Co to za sprawa?

– Tydzień temu wędkarze znaleźli ciało młodej dziewczyny. Pływało sobie w Wiśle. Zabito ją strzałem w głowę – egzekucja. Biegły ocenił, że musiała jakimś cudem odwiązać się od balastu. Miała zostać na dnie – niezaleziona. Na razie wiem, że nazywała się Izabela Kolada i kilka miesięcy temu zwolniła się z pracy w klubie „Magnez”.

– Była prostytutką?

– Dlaczego zabijasz prostytutkę i próbujesz ukryć ciało?

– Za dużo wiedziała? Dała dupy nieodpowiedniej osobie? Chciała szantażować kogoś na stołku?

– Właśnie. Cokolwiek to było, znaczy, że nadepnęła na odcisk komuś, komu zależy na byciu czystym.

– Komuś oficjalnemu. Na służbie.

– Widzisz, Berg, dlatego lubię z tobą gadać! Rozumiemy się! Feliński ugryzł kawałek pizzy, pogryzł go pospiesznie, kiwając przy tym głową, jakby miało to jeszcze przyspieszyć proces jedzenia.

– Pomyślałem o twoim znajomym, bo oni w CBA wiedzą takie rzeczy. Może mają już oko na kogoś, kto zabawia się z kurwami. Szczerze, tak między nami – nie wiem już, gdzie palec wsadzić, Proca. Dochodzenie stoi w martwym punkcie, a prokuratura ciągle pyta o postępy.

– Potrafią wkurwić...

– Są jak wrzód na dupie! To co? Zagadasz z nim?

– Izabela Kolada, tak? Zapytam go, jeśli się z nim zobaczę. Ale to chłopak z zasadami, rozumiesz? Jak sprawa będzie utajniona, to nie puści pary z ust.

– Berg, przecież ty wiesz, jak rozwiązać każde usta!

Mimowolnie prawy kącik ust Berga uniósł się ku górze. W końcu był u siebie. Otoczony ludźmi, którzy go znają, rozumieją i doceniają. Nie był egocentrykiem. Nie zwracał też uwagi na awanse czy jakiegokolwiek granty za swoją pracę. Jej wyniki były najlepszą nagrodą. Jednak po kilku miesiącach wyobcowania uświadomił sobie, jak ważna jest dla niego niezależność i renoma. Czuł się dobrze w swojej skórze. Feliński uśmiechnął się szeroko.

– A poza tym, co słychać? – zapytał Berg po chwili.

– Po staremu. Ciężko. Na mieście ciekawie. Wczoraj, na przykład, kolejny trup. Ale jaki! Ktoś przywiązał mu nogi sznurem do wozu i przejechał z nim kilometr, potem zostawili go, aż zdechł.

– Jakieś powiązania z dziewczynami?

– Nie, nie. To coś innego i ktoś inny to dostał. Ale wyobraź sobie, co to za metody! Przeciagnąć człowieka kilometr asfaltem... Twarz niemożliwa do identyfikacji!

Feliński opowiadał o tym z nieukrywaną fascynacją, czego Berg nigdy nie potrafił zrozumieć. Widział w tym jedynie okrucieństwo i porażkę dobra w walce o ludzką duszę. Ktokolwiek dopuścił się czegoś takiego, miał w sercu diabła w czystej postaci. Kiedy skończyli posiłek, Feliński zapłacił za lunch.

Dziewiętnastoletni Marcin Sobiech wyszedł ze swojego pokoju mieszczącego się na piętrze domu, w którym mieszkał z rodzicami. Nie snuł złudnych marzeń o opuszczeniu rodzinnego gniazda. Nie tak został wychowany. Ojciec zawsze powtarzał mu, że rodzina jest najważniejsza i że zawsze musi się trzymać razem. Nie był zresztą pewien, jak poradziłby sobie w pojedynkę. Rodzice zapewniali mu wszystko, czego potrzebował, odkąd tylko pojawił się na świecie. Nie omieszkiwali mu o tym od czasu do czasu przypominać. Oczywiście uwagi typu: „ojcu należy się szacunek” czy: „kochaj matkę, która cię wykarmiła” były całkiem na miejscu i nikt nie ośmieliłby się podważyć ich słuszności. Jednak upominanie młodego chłopaka słowami: „beze mnie to byś na śmietniku mieszkał” czy: „wszystko dobre, co cię w życiu spotkało i spotka, pochodzi ode mnie” było znacznym nadużywaniem rodzicielskiej przewagi. Wiadomo jednak, że często powtarzane prawdy o świecie po pewnym czasie zaczynają nabierać realności, więc w umyśle Marcina świat właśnie tak wyglądał – podlegał jego ojcu. On sam też mu podlegał i za wszelką cenę pragnął sprostać jego wymaganiom.

Kiedy wyszedł z pokoju, usłyszał męskie głosy dobiegające

z salonu na parterze. Rozpoznawał głos Jarosława Sobiecha – swojego ojca – lecz dwa pozostałe były całkiem nowe. Schodził powoli schodami, stopniowo zyskując widok na salon. Postanowił, że spróbuje przemknąć obok niespostrzeżenie, lecz ojciec jakby wyczuł w powietrzu jego obecność.

– Hej, Marcin! – zawołał, przywołując go żarliwie gestem ręki.  
– Chodź tu na chwilę.

Chłopak wszedł posłusznie do salonu. Stary Sobiech siedział w towarzystwie dwóch dobrze przypakowanych panów. Byli dość opaleni jak na tę porę roku i nosili drogo wyglądające zegarki, co z pewnością imponowało ojcu.

– To Marcinek, mój pierworodny – wyjaśnił dumnie stary.  
– Kiedyś przejmie po mnie interesy. Jeszcze się przyucza, ale zdolny z niego chłopak i pracowity. Studiuje! Jak to się nazywa, synek?

– Komparatystyka...

– Komparatystyka! A gdzie ty teraz wychodzisz?

– Umówiłem się z dziewczyną.

– A! No, to leć! – ponaglił go, po czym szeptem zwrócił się do mężczyzn. – Jaki obrotny! Z dziewczyną się umówił! Tylko kup kwiaty jakieś! – krzyknął w stronę korytarza. – Dziewczyny lubią kwiaty...

Marcin otworzył swoje czerwone bmw 4 i usadowił się w fotelu, kiedy do środka wskoczył niespodziewany pasażer. Był to Komplet – chłopak od wszystkiego, który pracował dla starego Sobiecha od dwóch lat. Załatwiał telefony, sprzętaczkę, alkohol na imprezy, dziewczyny dla gości z zagranicy i wiele, wiele innych. Bezpretensjonalnie zapiął pasy, mówiąc:

– Podwieziesz mnie pod stadion? Mam spotkanie.

– Ja też... – odparł nieśmiało Marcin. – Jestem umówiony.

– Pięć minut w tę czy w tamtą nie zrobi ci przecież różnicy! No!

Odpalaj, bo czas ucieka.

Chłopak westchnął głęboko i przekręcił kluczyk. Zaparkował blisko Stadionu Narodowego, obok kwaciarni. „Widocznie tak miało być!” – pomyślał i idąc za radą ojca, kupił jedną czerwoną różę.

Małgorzata czekała na niego pod kinem „Arkadia”. Spóźnił się trochę. Niewiele. I przyniósł różę! Nie mogła mieć pretensji. Wybaczyła. Pocałowała go w polik i od razu złapała jego rękę. Marcin kupił duży popcorn i dwie cole. Usiedli w ostatnim rzędzie niemalże pustej sali kinowej. Film już niedługo schodził z ekranów. Wszyscy znajomi o nim mówili, więc Gosia nalegała, żeby go obejrzyć. Marcin widział go już wcześniej, jednak nie przyznał się do tego. Chciał, żeby ona sądziła, że doświadczą tego razem po raz pierwszy. Jak przystało na produkcję hollywoodzką, między wybuchem a imprezą na ekranie doszło do sceny erotycznej. Mało błyskotliwe dialogi. Emocjonalna muzyka. Najlepsze sceny z filmu można było zobaczyć wcześniej w trailerze.

Dziewczyna na pierwszy rzut oka nie wyglądała na zbyt inteligentną. Zachowywała się czasami dziwnie, gadała głupoty i żuła gumę w dość pokazowy sposób. To wszystko stanowiło jednak swego rodzaju autokreację mającą na celu utrzymanie pozytywnego nastroju i przyciąganie do siebie wesołych ludzi. Małgorzata skrywała w sobie swoistą wrażliwość i błyskotliwość. Właśnie dzięki tym cechom zaskarbiła sobie sympatię Marcina. Pół godziny po rozpoczęciu filmu ziewnęła ostantacyjnie i zsunęła się nieco z fotela. Położyła dłoń na udzie chłopaka i zaczęła masować je delikatnie. Potem nieco mocniej. Gdy chłopak się wyprężył, złapała go za krocze i ofiarowała mu kilka minut przyjemności. Postanowił, że następnym razem zrobią to naprawdę. W łóżku. Żeby i ona doznała nieco rozkoszy.

Po filmie odwiózł ją do domu na Ursynowie. Na zakończenie

spotkania dostał jeszcze namiętnego całusa, a wyszeptane przez nią:  
„do zobaczenia” pozostawiło go w błogostanie wyczekiwania.

ZAMÓW PEŁNĄ WERSJĘ KSIĄŻKI NA:

**[HTTP://VERAEIKON.SHOPLO.COM](http://veraeikon.shoplo.com)**